

22 VII 1944



Lipiec 1944. Przejście Bugu, wyzwolenie Chełma, Lublina — to wszystko odbyło się tak błyskawicznie, że w pamięci pozostało, jak smuga słoneczna. Uderzenie wojsk radzieckich I Frontu Białoruskiego oraz Pierwszej Armii Wojska Polskiego zmiołło pancernie dywizje SS i zapoczątkowało okres wyzwolenia ziem polskich z okupacji hitlerowskiej.

22 lipca w wyzwolonym Chełmie przed frontem oddziałów Wojska Polskiego odczytany został Manifest PKWN, a o świcie 24 lipca wojska radzieckie i polskie wkraczały już do Lublina. Na lubelskim Krakowskim Przedmieściu pojawił się pierwszy samochód z oficerami Dywizji Kościuszkowskiej (na zdjęciu). Powitanom towarzyszyły tzy, kwiaty i uściski.

Fot. L. Budziński

Janusz Likowski

Przodkowie Manifestu

W roku 1893 niewielka grupa inteligentów i robotników myślicy światoburczo zebrała się w konspiracyjnym mieszkaniu warszawskim. Celem było utworzenie partii. Miała ona uzbroić klasę w świadomość, by potem owa świadomość służyła jako siła napędowa czynów. Łatwo rzucić lapidarne stwierdzenie na papier, a jakże trudna droga wiodła członków „Socjał-Demokracji Królestwa Polskiego”, a w skrócie SDKPiL od niewielkiego kółka do potężnej partii zdolnej wyprowadzać na ulicę dziesiątki tysięcy ludzi: przeciw setniom kozackim tratnom, przeciw tłumom, szablom żandarmerii — ogromnej maszynie zmiłitaryzowanej biurokracji caratu.

Gdybyśmy szukali w przeszłości przodków Manifestu Lipcowego, trzeba by sięgnąć przede wszystkim także do lipca, tego w 1893 roku. Utworzona partia, w parę lat później nazwana SDKPiL, jako że przyłączyli się do niej socjaldemokraci Litwy, jest jakby słupem milowym łączącym pierwsze rewolucyjne próby organizacyjne z nowoczesną walką proletariatu, jej formami aktualnymi w państwach kapitalistycznych do dnia dzisiejszego.

Istniała w tej partii wielka, nieustanna dyskusja. Ciągłe szukano nowych dróg, śmiały rozwijać teoretyczne, wypróbowywane je w praktycznym działaniu. Wielu jej bojowników znajdziemy w gronie najwybitniejszych myślicieli proletariackiej idei społecznej, wielu stało się później praktycznymi przywódcami państwa robotniczo-chłopskiego.

Gdyby można zmierzyć, jak areometrem, zawartość żaru ideowego członków SDKPiL, porównać go z bratnimi partiami w innych krajach, nie potrzebowałibyśmy się wstydić. W międzynarodowym ruchu robotniczym SDKPiL była wysoko notowana. Na drugim miejscu po bolszewickiej SDPRR.

Wydało się, że ten fakt nie narodził się przypadkowo. Narod, który tak jak Polski ukończył wojnę, który był przez ponad sto lat gnębiony i poniewierany, instynktownie szukał takiej idei, która zdolna byłaby zapalić masę i wyzwolić ojczyznę. Najświatlejsze umysły znajdowały na przekątną swoich dążeń ideę socjalistyczną. Pierwszy płomień socjalnej rewolucji zapalony przez „Wielki Proletariat” stłumiła ręka Ochrony. Ognia idei SDKPiL-u powstrzymać nie było można. Rozniecił on pożar myśli wolnościowych, zorganizował produkującą klasę społeczną — w partię, która czynnie zaczęła protestować przeciw uciskowi i poni-

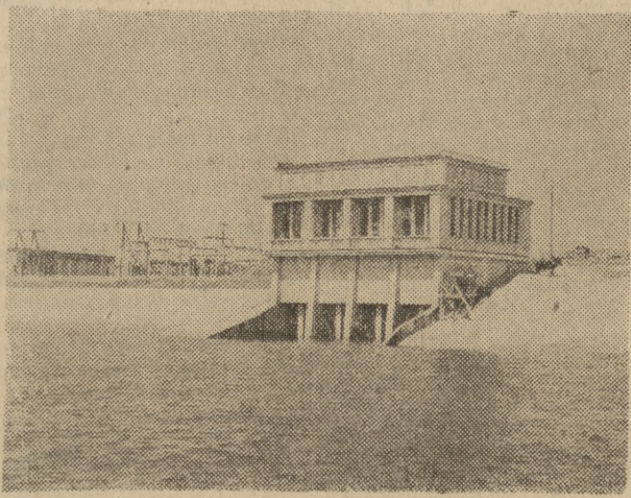
wierce. Strażki hartowały robotników. Uczyły ich taktyki walki z wrogiem. W 1905 roku łódzcy włóknarze jako pierwsi stanęli do zbrojnej walki — na barykadach. Było to pierwsze tego rodzaju wystąpienie w imperium carskim, bardzo wysoko oceniane przez Lenina. Przywódca polskiego „powstania tkaczy” była SDKPiL.

Wielkie idee tworzą procesy nieodwracalne. Śledząc historię partii polskiej rewolucji znajdujemy osłabienia, fali, jej wznoszenie się, gigantyczne szturmowanie. Nigdy jednak nie osłabło napięcie, nigdy esdekapełowcy nie opuszczali rąk i nie przestawali myśleć. Róża Luksemburg, Julian Marchlewski to przykłady nie tylko wielkich przywódców ruchu, lecz i jego myślicieli. Można byłoby z perspektywy wielu dziesięcioleci wytykać im niektóre błędy, zresztą, bodaj zbyt wiele mówiono w ubiegłych okresach o pomyłkach tzw. luksemburgizmu, a za mało o pozytywnym wkładzie tego niespokojnego umysłu do zagadnień teorii rewolucyjnej.

O tym myśleć także w rocznicę Manifestu Lipcowego. Wiem przecież, że jego sztan-dard podniesiono już w końcu wieku dziewiętnastego. Nieś-go starzy towarzysze z SDKPiL później komuniści polscy, by wreszcie zatknąć go na polskiej ziemi. Wtedy stał się fakt nieodwracalny: zrealizowano trzy zasady — ziemia chłopom, fabryki robotnikom, władza lu-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Woda dla Śląska



Już wkrótce woda z jednej z największych w Polsce zapór, w Goczałkowicach popłynie do mieszkań Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego. W pierwszej fazie zaopatrzenie mieszkańców Stalino, Chorzowa, Nowych Tych i innych miast śląskich w zdrową, czystą wodę wzrośnie o około 25 procent. Wista spłięta w swym górnym biegu w żelbetonowe kłamy utworzyła wielkie, przeszło 10-kilometrowe jezioro, w którym znajduje się już około 80 milionów metrów sześć. wody. Zasadnicze prace na wszystkich obiektach ujęcia wody w Goczałkowicach zostały już ukończone. Trwają jeszcze ostatnie roboty wykończeniowe.

Na zdjęciu: stacja pomp.

CAF — Fot. Szyperko

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela 22 VII 1956
Rok VII Numer 28

ZWIERCIADŁO naszych praw i obowiązków

W okresie, który wiąże się z czwartą rocznicą uchwalenia Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (22 lipca 1952 r.) i czwartą Sejmowi wybranego tegoż roku, jesteśmy świadkami przekształcania naszego życia celem przyspieszenia pełnego zwycięstwa socjalizmu.

Weszliśmy w trudny okres demokratyzacji całego aparatu władzy ludowej i stałego włączania coraz szerszych rzesz obywateli do współzadania państwa, współgospodarowania mieniem i dorobkiem narodu. Gdzie jest archimedesowy punkt oparcia dla tych, co walczą o zwiększenie odpowiedzialności mas i jednostek za państwo ludowe? Taki punkt istnieje. Jest nim Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a źródłem jego mocy nasza Konstytucja. „Sejm jest najwyższym organem władzy państwowej” — głosi rozdz. I art. 15 Konstytucji.

Nie od początku swego istnienia Sejm nasz umiał wykonać swoje obowiązki. Mieliliśmy sesje „dretwe”, nie odzwierciedlające panującej sytuacji w kraju. Autorytet posłów malał, ich wpływ na kierowanie bieżącą administracją, przerosł biurokratyczny, szerzenie prawowadności w państwie był niedostateczny. Dopiero sesje ostatnie pod wpływem ducha XX Zjazdu KPZR przyniosły w tej dziedzinie przełom. Zapoczątkowały odmianę klimatu moralnego, w którym odbywa się polityczne życie kraju. Kwietniowe debaty sejmowe przykładały największą wagę całemu krajowi. Zmieniła się rola Sejmu, wzrosła jego powaga. Jeszcze niedawno poseł w swoim województwie był bezsilny wobec lokalnej administracji, dziś żąda się, aby Sejm rozpatrywał wypadki błędnego postępowania ministrów.

Konstytucja PRL nie tylko ustala, że Sejm jest najwyższym organem władzy, ale jednocześnie daje mu potrzebne dla pełnienia tej władzy szerokie uprawnienia. Mówi o tym wyrażnie rozdział IV art. 29: „Sejm powołuje i odwołuje rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — Radę Ministrów lub poszczególne jej członków”.

Nasz Sejm skorzystał obecnie w większej mierze, niż dotychczas, z 15 art. 3 rozdziału Konstytucji, który powiada:

„Sejm uchwała ustawy oraz sprawuje kontrolę nad działalnością innych organów władzy i administracji państwowej”, art zaś 21 rozdziału III Konstytucji dodaje, że „Sejm może powołać komisję dla zbadania danej sprawy. Uprawnienia i tryb działania komisji ustala Sejm”.

Konstytucja wytycza więc drogę do skutecznej krytyki, lecz drogą tą niezbyt często chodzili dotychczas nasi posłowie. Kwietniowe obrady komisji sejmowych wykazały, że wśród posłów wzrosło poczucie odpowiedzialności wobec wyborców i głosy opinii publicznej czy to w formie rezolucji załóg zakładów przemysłowych czy też uchwał instytucji i organizacji znalazły dobitny wyraz w przemówieniach i postanowieniach komisji sejmowych. Zasiłgi Sejmu o znaczeniu historycznym jest więc to, że zaczął czynić rzeczywistością prawo podstawowe — Konstytucję.

W zakresie tym mamy jeszcze niejedno do zrobienia. Dotychczas np. nie została zrealizowana u nas instytucja odwoływania posłów i członków rad narodowych (z wyjątkiem rad gromadzkich, a tym samym i system odpowiedzialności przed przedstawicielami ludu, przed wyborcami (art. 2 ust. 2).

Sejm jednak nie może i nie zdoła spełnić swych zadań bez świadomości, iż cały kraj, wszystkie narodu odpowiedzialne czynniki, pod przewodem partii biorą jak najczynniejszy udział w urzeczywistnianiu praw Konstytucji na codzień, w każdej załodze fabrycznej, w każdym zakładzie pracy, w każdej radzie narodowej z gromadzką na czele. Tylko zbiorowy wysiłek wszystkich i każdego do nam gwarancję, iż żaden z rozdziałów i artykułów naszej Konstytucji nie będzie martwą literą, ale stanie się żywym ciałem dnia powszedniego. Nasza Konstytucja nie tylko bowiem odzwierciedla polskie tradycje narodowe, nasze wiekowe walki o postęp i wolność, o równość i sprawiedliwość społeczną, ale także obwarowuje nasze zdobycze i zdobycze te rozszerza.

Ale utrwalanie i rozszerzanie praw, pełniejsza demokratyzacja nie następuje samoczynnie. Procesy te przyspieszyć może jedynie zespolenie sił narodu wokół władzy ludowej, działanie w myśl zasady, że większym prawom obywatelskim odpowiadają zwiększone obowiązki i większa odpowiedzialność za każdy odcinek naszej pracy.

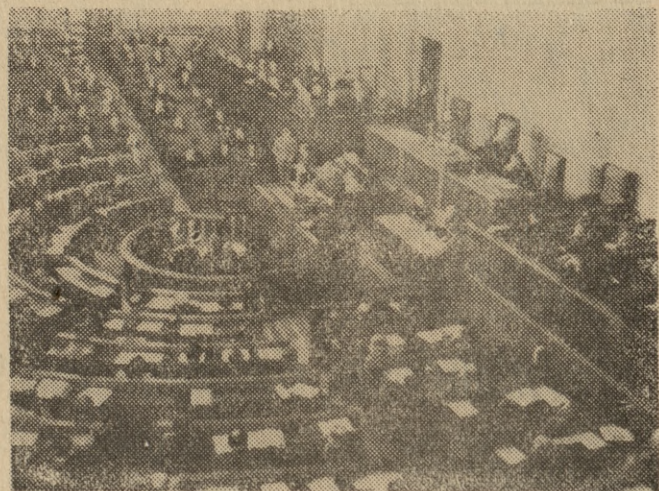
W socjalizmie rządzić ma lud i to jest cel, do którego od chwili objęcia władzy dąży klasa robotnicza poprzez swoją partię. Edmund Osmańczyk w swym przemówieniu na ostatniej sesji sejmowej powiedział, że: „Dążenie do demokratyzacji naszego życia jest niczym innym jak ofensywą socjalizmu, mającą na celu przyspieszenie jego budowy przez stałe rozszerzanie swobód obywatelskich”.

Miasto PWKN-u, dzisiejszy Lublin — w niczym nie przypomina dawniejszego, sponiewieranego w czasach czynszowych kamienia i burzących gustów, a później przez wojnę. Wielka odbudowa, jaką objęto 40 procent tego miasta w latach poprzedzających dziesiątą rocznicę uchwalenia Manifestu, pokazała je w nowej pięknej szacie, która stała się symbolem Polski odradzającej się pracą i wysiłkiem ludu. U podnóża zabytkowego Zamku lubelskiego (na zdjęciu) wznoszą się dzisiaj domy dzielnic mieszkaniowej ZOR.

CAF — Fot. Baranowski

przy jednoczesnym umacnianiu jedności narodu skupionego wokół swej partii”. I to jest najbliższe zadanie Sejmu jeszcze przed upływem jego kadencji.

Henryk BARAŃSKI



Widok ogólny sali sejmowej w czasie posiedzenia

Fot. Ag. II „AP”

Zbigniew Pędziński

Żołnierz - poeta

Rocznica uchwalenia Manifestu Lipcowego cofa naszą pamięć do gorących, letnich dni, kiedy to przed dwunastu laty pojawiły się na ulicach Chełma nie widziane od 1939 roku żołnierskie postacie z orzelkiem na rogatywkach. Razem z Pierwszą Dywizją im. Tadeusza Kościuszki wędrował znad dalekiej Oki do Polski jej kronikarz-poeta: Lucjan Szenwald. Ci, którzy pamiętali młodego, bardzo obiecującego pisarza z warszawskiej kawiarni literackiej, ze zdumieniem przyglądali się jakby odmienionemu człowiekowi, tak obecnie mówiącemu o sobie:

W pasie strzeleckim, w zielonym mundurze
Stoję — i owoc mam kamieniny w dłoni,
Granat z nasieniem wolności.

Rzeczywiście, daleka droga dzieliła studenta filologii klasycznej i współtwórcę grupy poetyckiej Kwadryga od kapitana odrzonego Wojska Polskiego. Lucjan Szenwald dosyć wyjątkowo przecież traktował początkowo swoje zainteresowania literackie, pragnąc być przede wszystkim — jeśli nie tylko — artystą, poetą, muzykiem. Szybko jednak do jego życia i twórczości zaczęła się wdzierać rzeczywistość społeczna polskiego dwudziestolecia i

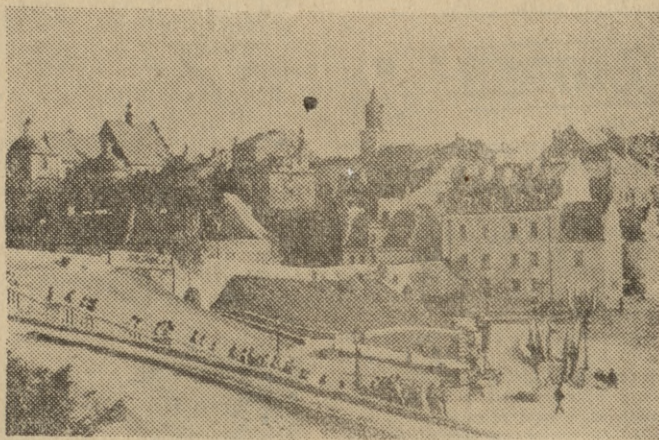
żądać od młodego twórcy należnego jej trybutu.

Nie porzucając swych przyjaciół i kolegów po piórze — wśród których znajdujemy między innymi Gałczyńskiego, Słobodnika, Maliszewskiego, Flukowskiego, Uniłowskiego i Świątopelka Karpiańskiego — Szenwald organizuje zespół Czerwona Latarnia, który rozpoznaje świat wśród robotników dobrą i celną satyrę polityczną i wysmiewając klasowych wrogów proletariatu, pomaga ludziom fabryk i hut w ich codziennej walce o chleb i lepszą przyszłość dla swoich dzieci. Miłość do Warszawy, która poddyktowała Szenwaldowi jedno z najpiękniejszych jego wyznań poetyckich, a wśród nich i takie:

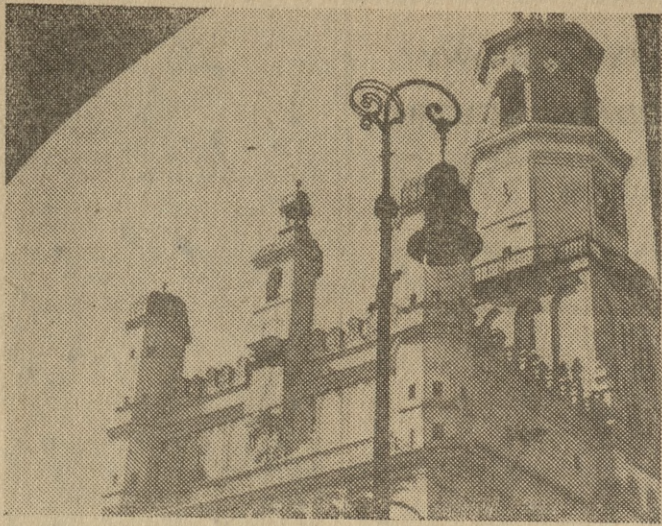
O, Wisto, wryj się falą w rozpalone piaski,
Rozlej się po muskulach i po łętnie suplach.
O, zalej, zniszcz stolicy wizerunek płaski
I pokaż mi Warszawę piękną i wypukłą.

— przemieniła się w serdeczne uczucie do walczącego, robotniczego miasta. Stąd nie było już daleko do znalezienia się w szeregu armii, rozpoczynającej wytrwały i długi bój o niepodległość Ojczyzny i jej najpięk-

(Ciąg dalszy na str. 2)



22 VII 1956



Ratusz Poznania — to jeden z symboli naszego kraju, który odbudowano żmudnym wysiłkiem narodu. Kiedy już Chęlm i Lublin żyły wolnością — reszta kraju znajdowała się jeszcze w okowach niewoli; legł Ratusz naszego miasta w gruzach, ale wyzwolony lud wznosił go znowu, jak tyle innych wspaniałych zabytków.

Fot. Grzegorz Cierniuch

Julian Rynowiecki

Małe kamieniczki

Wszystkie jakby ręką mistrza Benvenuta postawione w Rynku i przykryte niebem.

Przyjdzie rano słońce i z wieży Ratusza każe poodkrywać przy winie i śpiewie

Ludzie się zadziwią, że na ścianach kwiaty, lukrowane okna i wszystkie kolory.

A gdy się pochyla dwie głowy rogate przeszłość zajrzy w okna jak dobry przyjaciel

„Wszystko Tobie, ukochana ziemio“

Kiedy w Łęknie koło Zanie-myśla przeczytałem ten napis (jak w tytule) — doznałem nieoczekiwanego wzruszenia: odczułem całą emocjonalną prawdę i znaczenie tych słów, których treść jest nakazem sumienia każdego uczciwego patrioty.

Całe też popołudnie tego pięknego lipcowego dnia na koloniach w Łęknie i Bninie — myślałem o tych słowach, choć wokół było gwaro, wesoło i śpiewnie. Ale przecież i ja dałem ponieść się tej powszechnej radości dziewcząt z Francji, które zaprosiły nas na otwarcie ich obozu kolonijnego w obu miejscowościach. Wprawdzie zaprasza zazwyczaj gospodarz, ale nie, nie, te Polki z francuskiej ziemi to też „gospodynie“, one też mają prawo zapraszać gości, bo przecież mówiąc słowami poety

„...ta ziemia, na której stoję to moje, to moje...“

Jest więc ich własnością ta polska ziemia, która je przyjęła na wypocinek i wycieczki po kraju; bo w planie jest i

Warszawa, i Kraków, Nowa Huta...

Rozmawiałem z kilkoma panienkami, jakże miłymi, jakże „polskimi“. Anna Maria Sprutta z Croix de Pierre (Nord) mówi mi, że „ojciec zawsze domaga się tego, żeby w



Ludwika Lesiak, miłutki gość z Francji, grała na fortepianie na kolonii w Bninie tak ładnie, że długo nie zamilkły oklaski. Rys. (2) D. Cholewcyńska-Derwichowa

domu mówić tylko po polsku, gdyż francuski słyszemy wszędzie: na ulicy, w tramwaju, w parku, teatrze, kinie...“ I powtarza to samo, czy podobnie, Janina Łopacińska z Cité des Nonnes, mówią o tym, że polskie biją w nich serca i Jadwiga Kuc z Hantay (Nord) i Anna Pylyp...

Zaczął się dopiero wypocinek na koloniach. O nasze dziewczęta z Francji troszczyć się będą Stefania Nowożeniuk, Gustawa Misiorna i ci wszyscy „gospodarze“, którzy z całym sercem podchodzą do swych gości — byle tylko umilić im pobyt w Ojczyźnie, by tylko wypoczęły tu nasze młodzieńskie rodaczki.

Serdeczny był nastrój w Bninie, serdeczny w Łęknie. bośmy wszyscy łatwo pojęli jedno: kochamy nasz kraj, gdziekolwiek byśmy byli.

A teraz drogie dziewczęta, wypoczywajcie i poznawajcie naszą Polskę — Matkę. Waszą i naszą.

t. h. n.

Piękny jest widok z Domu Wypoczynkowego na kolonii łęknowskiej na jezioro „zatopione“ w pięknym lesie



Fot. „Głos“

Przed „Rokiem Roberta Kocha“

Wielki łowca mikroobów i przyjaciel ludzi

Szpital powiatowy w Wolsztynie nosi imię Roberta Kocha. Nie ma jednak żadnej tablicy pamiątkowej na frontowej ścianie piętrowego domu przy ulicy Walki Młodych nr 12 i niewielu wolsztynian wie, że w domu tym pracował przecież w latach 1872—1880 lekarz niemiecki, którego imię zna cały świat. Po pierwszej praktyce w pobliskich Rakoniewiczach Koch osiadł w Wolsztynie i objął stanowisko lekarza powiatowego. Pamiętają go jeszcze nieliczni, najstarsi mieszkańcy powiatu.

Podarek urodzinowy umożliwił genialne odkrycie

Gdy Robert miał 28 lat, jego żona Emma sprezentowała mu mikroskop. Cenny to był podarek urodzinowy. Przez ten przypadek Koch stał się namiernym łowcą mikroobów. Porwał go świat najdrobniejszych żyjątek. Oprócz Pasteura nikt nie wiedział, że żyjątka te są przyczyną szalejących wówczas epidemii. Wobec nich najwięksi lekarze byli bezsilni. Zdarzały się wypadki, że zrozpaczeni i zabobonni mieszkańcy wsi próbowali zaoarać... epidemie i choroby. O północy zaprzęgnięli więc do pługów cztery wdzwy ze wsi i orali nimi przekłętą ziemię...

Wiemy, że Pasteur pierwszy wypowiedział walkę chorobom zakaźnym. Ale samouk Koch w Wolsztynie, odcinając od świata nauki, pierwszy wytrwale śledził nad mikroskopem. Doświadczenia rozpoczął przeprowadzając na gnijącym ścierwie krowim i owczym. Pod soczewkami mikroskopu tropił straszną zarazę węgliką. Zaraza ta panoszyła się po całej Europie, uśmiercając bydło i owce, a nieraz i ludzi. Pracował w prymitywnych warunkach. Pokoik jego był pełen doświadczalnych królików, świnek morskich i myszy. W 1876 roku z nieznanego nikomu Wolsztyna Koch mógł oznajmić światu, że warto było przeprowadzać mozolne doświadczenia. Świat dowiedział się, że przyczyną choroby były laseczki węgliką, których aż 10 tysięcy mieści się w jednym milimetrze. Mając 34 lata wolsztyński lekarz powiatowy dokonał największego odkrycia, jakie dotychczas zrobiono w dziedzinie mikroobów. Koch pierwszy udowodnił, że Pasteur w 1869 roku nie wyrzekł szaleństwa w słowach „w mocy człowieka leży wytepienie wszelkich zaraźliwych chorób na ziemi“.

Pod szkłem mikroskopu zarazek gruźlicy!

W 1880 roku dzięki staraniom swoich wrocławskich przyjaciół Koch wyjechał do Berlina, gdzie otrzymał dla swej dalszej pracy badawczej obszerne laboratorium. Mimo drwin samego Virchowa, najwybitniejszego wówczas niemieckiego lekarza, Koch rozpoczął nieubłaganą i zdawać by się mogło beznadziejną walkę o wyśledzenie najgroźniejszego mikroba. Co siódmy człowiek w Europie czy Ameryce umierał wtedy na gruźlicę. Po dwóch latach badań na zjeździe Towarzystwa Fizjologicznego w Berlinie Koch ogłosił ówczesnemu audytorium lekarskiemu swoje zwycięstwo. Niewidzialnym wrogiem ludzkości okazały się małe palczki mikroobów, których wielkość nie przewyższała jednej piętnastotysięcznej cala. Niepozorny i pracowity lekarz niemiecki stał się sławnym na cały świat. Jego odkrycia były pod koniec XIX wieku rewelacyjne, ale Koch mówił: — Moje odkrycie nie jest bynajmniej wielkim postępem.

Na medalu, wybitym specjalnie z okazji 60 rocznicy urodzin Roberta Kocha, znalazły się te słowa: — Ze świata najmniejszych twórców — stworzył własną wielkość i zdobył świat, który pełen wdzięczności daruje Ci wieniec nieśmiertelności.

Koch jednak skromnie odpowiadał:

— Lata, gdy jako lekarz powiatowy pracowałem w Wolsztynie, były dla mnie najpiękniejszymi i najbogatszymi przeżyciami. Pracowałem, ile mogłem, a że udało mi się więcej niż innym, to tylko dlatego, że trafiełem przypadkiem na dziedzinę, gdzie złoto leżało po prostu na ulicy... a to nie jest żadną zasługą.

W przygotowaniu... polska biografia

W przyszłym roku, 24 marca, minie 75 rocznica odkrycia prątków gruźlicy. Dłate-

W KRAJNIE POLSKICH JEZIOR

Pojezierze mazurskie — obszar kilkunastu tysięcy kilometrów kwadratowych w północnej Polsce, usiany setkami malowniczo położonych jezior połączonych ze sobą małymi rzeczkami i kanałami — to jeden z najpiękniejszych zakątków kraju — ulubiony teren wczasowy wielu ludzi w Polsce. Na jeziorach mazurskich amatorzy sportów wodnych znajdują liczne przystanki PTTK i klubów sportowych, w których wypocząć można żaglówki, kajaki lub łódzie wiosłowe.

Na zdjęciu: Na jeziorze wydmiejskim — grupka wczasowiczów dobiega do jednej z wysp.

CAF — fot. Kubiak



Żołnierz — poeta

(Dokończenie ze str. 1)

niejszego miasta. Szenwald w przedziwny sposób połączył w tej walce żołnierski karabin z piórem pisarza, bijąc się równie dobrze jednym i drugim.

Na kartach kroniki Pierwszej Dywizji odnotowywał skrupulatnie etapy jej długiego i bojowego szlaku — jako kronikarz przebywał również wśród przyjaciół i kolegów — żołnierzy, serdecznie przez nich lubiany i szanowany. Z pozólkłych kart lubelskiego początkowo tygodnika literackiego Odrodzenie odczytać możemy niejedno przepełnione bólem, ale i uśmiechem słowo wspomnienia o Lucku — człowieku i poecie. Oto, co mówi Józef Sigalin o chwilach spędzonych wspólnie z rozrąganym dziejopisem Pierwszej Dywizji:

Pisał kronikę wierszem. Był tak pochłonięty myślami, żył wśród swoich wizji poetyckich, że w życiu codziennym miał najkompletniejsze przygody. Zagadaliśmy się kiedyś do późnej nocy. Kilka godzin pozostało do brasku przespaliśmy razem. Przez kilka dni stały potem pod ścianą dwa „walonki“. W dwóch lewych Lucjan chodził po świecie.

W jakiś czas potem, zimą jeszcze, w natłoczonej izbie w baronie sanitarnym odczytywał swoją pracę — poemat „Przez linię frontu“.

Wybaczyłem mu „walonki“. Myślał był w kraju — przeszedł przez linię frontu.

Ogromną tęsknotę do Ojczyzny i rodzinnej Warszawy możemy odczytać ze wszystkich wierszy Szenwalda, powstałych w

go zastanówmy się, jak Wolsztyn uczył tę rocznicę — mówi dr Jan Kloniecki.

Mój rozmówca pracuje 26 rok w służbie zdrowia i jako wybitny specjalista w dziedzinie epidemiologii został przez Ministerstwo Zdrowia celowo przeniesiony do Wolsztyna. Mówi serdecznie o Robertcie Kochu, którego, będąc młodym, poznał w Berlinie. Dr Kloniecki urodził się w Berlinie, dokąd jego ojciec został wysłany z Wielkopolski za działalność w organizacjach polskich.

— Mam nadzieję, że społeczeństwo powiatu dopomoże mi w pracy — mówi. Pragnę napisać obszerną biografię o Kochu, pierwszą w języku polskim. Materiałów będę szukać w bibliotekach warszawskich, wrocławskich i krakowskich, a przede wszystkim tu w Wolsztynie. Z ramienia TWP będę wygłaszał prelekcje o życiu i pracy wielkiego humanisty. Zbierając pamiątki po sławnym doktorze chciałbym się również przyczynić do uruchomienia w Wolsztynie muzeum im. R. Kocha.

W marcu 1957 r. projektuje się w Wolsztynie zorganizowanie międzynarodowego zjazdu bakteriologów i epidemiologów. Dla uczczenia pamiątkowego odkrycia prątków gruźlicy zostanie w Wolsztynie zbudowana stacja sanitarno - epidemiologiczna z odpowiednimi laboratoriami.

Sprawami tymi winna się również zająć Miejska Rada Narodowa. Czas, aby wreszcie w Wolsztynie znalazła się ulica im. Roberta Kocha, by wmurowano na powrót pamiątkową tablicę na frontowej ścianie domu przy ul. Walki Młodych.

Henryk KOZŁOWSKI

KSIAŻKA

o zabytkowych kościołach

Przed kilkunastu dniami pojawiła się na półkach księgarskich nowa książka literata poznańskiego i działacza krajoznawczego, ADAMA DUBOWSKIEGO pt. „Zabytkowe kościoły Wielkopolski“, wydana na kładem Albertinum.

Pokaźny, trzystustronicowy bez mała tom, wydany na niezłym papierze w starannej i efektownej oprawie graficznej Wacława Świerczyńskiego, stanowi dalszy cenny krok w wypełnianiu dotkliwej luki, jaka istnieje wciąż w dziedzinie opracowań wielkopolskich zabytków sztuki, albumów i przewodników z tego zakresu.

Książka zawiera opis stu kilkudziesięciu najcenniejszych pod względem architektonicznym i wyposażenia artystycznego kościołów miast i wiejskich miejscowości naszego regionu. W każdym przypadku Dubowski podaje skróty rys dziejów zabytku, wyjątkowo cenne budowle lub elementy ich wystroju omawia szczegółowo.

Wartość wydawnictwa podnoszą liczne fotografie, m. in. prace szeregu znanych poznańskich art. — fotografików jak: ks. K. Konieczny, F. Maćkowiak, F. Obrąpalski, G. Wyżomirski i in. Szkoda tylko, że obok słowniczka nazw z zakresu historii sztuki oraz indeksu artystów nie znalazła się mapa rozmieszczenia zabytkowych kościołów w naszym województwie.

W sumie wydawnictwo przedstawia wartość nie tylko dla miłośnika-krajoznawcy, duże usługi oddać może również historykowi sztuki i każdemu pracownikowi kultury.

Warto zaznaczyć, że wydawca wypuścił kilkadziesiąt egzemplarzy książki w ozdobnej, sztywnej oprawie, nadającej tomowi charakter albumowy.

Przykrą niespodzianką jest natomiast wysoka cena książki (62 — zł), wynikała niewątpliwie z nazbyt niskiego nakładu, wynoszącego tylko 3000 egz. Szkoda, gdyż publikacja może liczyć na szerokie zainteresowanie. Świadczy o tym fakt, że wydana w 1952 r. podobna praca A. Dubowskiego o zabytkowych kościołach Poznania jest już od dawna wyczerpana mimo znacznie większego nakładu.

W zakończeniu warto nadmienić, iż również w dniach ostatnich ukazała się nakładem stołecznego wydawnictwa „Sport i Turystyka“ następna pozycja książkowa tego zasłużonego krajoznawcy i popularyzatora zabytków sztuki oraz turystycznych walorów Wielkopolski. Jest to obszerny przewodnik dla kajakowców po wielkopolskich i lubuskich szlakach wodnych, który A. Dubowski opracował wspólnie z S. Jakimowiczem i K. Rzemienieckim.

Przodkowie Manifestu

(Ciąg dalszy ze str. 1)

dowi. Rozpoczęliśmy nową epokę, często bolesną, często trudną, ciężką. Przedzieraliśmy się i przedzieramy nadal między własnymi błędami i potknięciami, obłupujemy kamienny posąg ze zbytecznych chropowatości. Szukamy kształtu, który będzie idealnym. Chcemy uczynić, jak niegdyś wielki rzeźbiarz włoski Michał Anioł, gdy stworzył swego Mojżesza. Ująłszy młotek stuknął posąg w zimne kolano i krzyknął: „Więc powiedź, że żyjesz!“

W naszym uderzeniu młotem w posąg musi istnieć jednak podstawowa różnica — marmurowy posąg musi żyć naprawdę. My mamy już marmur. Posiadamy wyrabany kształt socjalizmu — musimy odłupać resztki brzydoty, by zostało tylko jego piękno i dobro. Tego bowiem pragnęli przodkowie Manifestu, o to walczyli, taki był ich cel: wolność w sensie społecznym — od głodu, nędzy, ucisku. Prawo — do pracy, władzy i nauki.

Muszą ludzie stać się sobie braćmi, żyć w szczęściu, z jasną i niedwuznaczną perspektywą przyszłości. Stanie się to z naszej własnej woli. Sami ujmemy młot w ręce i uderzymy z całej siły powiemy inaczej niż rzeźbiarz: BĘDZIESZ ŻYŁ, BO TAK CHCE LUD.



Anna Pylyp z Noeux Les Mines raduje się polskim słońcem w uroczym Łęknie.

CYCHIAŁ JIN?

PAWEŁ NAGAI: „Dzwony Nagasaki“. Przekł. z franc. M. Szwękowski. W-wa 1956. Pax, str. 165, cena zł 12,00.

Japoński lekarz Paweł Nagai przeżył w Nagasaki eksplozję bomby atomowej. Nie ominęły go jednak fatalne skutki promieniowania radioaktywnego. W sześć lat po zagładzie Nagasaki zmarł na „chorobę atomową“ — leukemię (białaczkę). W czasie choroby Nagai spisał swoje wspomnienia z okresu wybuchu bomby i późniejszych jego skutków. „Dzwony Nagasaki“ stanowią wstrząsające świadectwo skutków wybuchu bomby atomowej w tym japońskim mieście. Świadectwo tym bardziej poruszające czytelnika, że spokojna relacja Nagai pozbawiona jest wszelkich drastycznych w opisie okropnych nieszcześć spowodowanych wybuchem bomby. A jego miłość do człowieka, gorący patriotyzm i optymistyczna deklaracja po stro nie pokoju — mimo iż z wielką jego poglądomi nie można się zgodzić — czynią z jego książki lekturę godną przemyslenia.

200 km bojowych zmagania

uporczywych bojach Korpus Polski musi przejść jednym zamachem 200 km. najeżonych obroną nieprzyjaciela, która trzeba łamać, upstrzonych zdradliwymi minami, lejami i pułapkami, przy poniszczonych i zerwanych mostach i komunikacji — stacza szereg walk, które przejdą do historii pod nazwą „działania nad Adriatykiem”. Aczkolwiek skromnie i na małą skalę rozpoczęte, zakończone zostały operacją o decydującym dla frontu włoskiego znaczeniu.

Miasta — symbole bitew

Pozostaną w pamięci nazwy miast i miasteczek, symbolizujące stoczone tam bitwy jak: Morrovalle, Porto San Giorgio, Fermo, Porto Civitanova, Macerata, Tolentino, Monte Fano, Loreto, Recanati, Osimo i wiele, wiele innych. Jak groźne widmo wyłaniał się z daleka, tuż nad Adriatykiem, ciemny masowy Monte Conero, za którym znajdował się cel naszego natarcia — Ancona.

Ramię w ramię walczyły wspólnie Dywizja Karpacka wzdłuż szosy nadmorskiej, w lewo od niej Dywizja Kresowa oraz wspomagająca działania obydwóch — Brygada Pancerna. Opór przeciwnika krzepnie na rzece Musone. Pojawiają się działa szturmowe przeciwciężkowie, nieprzyjacieli pomimo wyraźnych już wzmagań w jego pozycje nie zdradza zamiaru odejścia, staje mocno na terenie i jest widoczne, że tu właśnie chce bronić Ancony.

Coraz wyraźniej rysuje się konieczność zmocowania jednej bitwy całym Korpusem Polskim przy użyciu wszystkich sił i zastosowaniu przewidywanego już dawno obejścia Ancony od zachodu. Trafna ocena ugrupowania nieprzyjaciela i skrupulatne rozpoznanie terenu wykazało, że wzgórze Monte della Crescia, to klucz pozycji. Tu też ruszy główne natarcie. Po opanowaniu Crescia, natarcie ruszy na Agugliano i Polverigi, zataczając półkole na tyłach obrony i dążąc do wyjścia aż na Adriatyk, na północ od Ancony, by odciąć odwrót przeciwnika i zniszczyć go. Na reszcie odcinka Korpusu (na wschód od Monte della Crescia) i wzdłuż szosy nadmorskiej nieprzyjacieli będzie wiązany i mylony działaniem Dywizji Karpackiej. Oto plan bitwy o Anconę powzięty przez dowództwo Korpusu.

Relację o przebiegu bitwy na pisał dla nas jeden z jej uczestników — Jerzy Antoniewicz. (red.)

Polska „pelotka” pilnie strzegła włoskiego nieba.

Tak, jak Monte Cassino rygowało drogę do Rzymu, tak Ancona była zasadniczym filarem faszystowskiej linii obronnej, rozciągającej się od Morza Tyrreńskiego po Adriatyk broniąccej dostępu do okupowanych jeszcze prowincji włoskich.

W dniach 17 i 18 lipca 1944 roku — gdy Kościuszkowska Dywizja wkraczała już od strony Rugu w próg ojczyźnej ziemi — w dalekich Włoszech żołnierze II Korpusu Polskiego stoczyli jedną z najbardziej zwycięskich bitew. Zdobyli Anconę — ważnego portu nad Adriatykiem okupione ich krwią, umożliwiło głównym siłom sprzymierzonych dalsze działania i ostatecznie złamanie faszystowskiego oporu na froncie włoskim.

Relację o przebiegu bitwy na pisał dla nas jeden z jej uczestników — Jerzy Antoniewicz. (red.)

Po bitwie o Monte Cassino i Piedimonte, po zwycięstwach na linii Gustawa i Hitlera, żołnierze polscy stanęli znowu w obliczu nieprzyjaciela w rejonie przyległym do Morza Adriatyckiego.

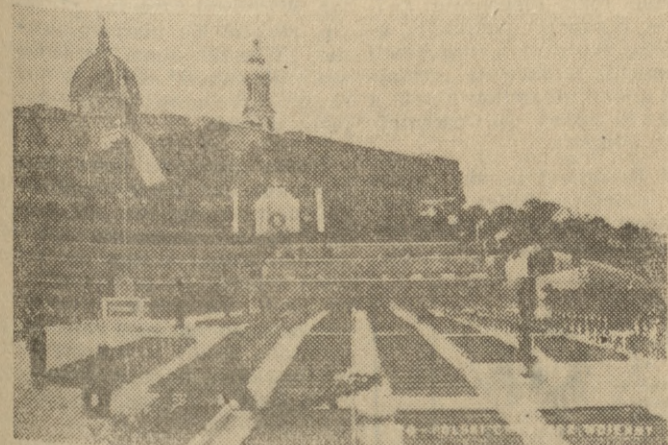
Okoliczności kazały spełnić nam po raz drugi decydującą rolę w kampanii włoskiej: zdobyć Anconę, pójść za cofającymi się Niemcami na ostateczną linię Gotów, przesłone przegrupowań VIII Armii i złamanie samej linii.

Rozwój wypadków pod Florencją wykazał, że nie tam trzeba szukać rozwiązania kampanii włoskiej. Wówczas zapadła decyzja aliantów: główne uderzenie frontu pójść nad Adriatykiem. Ale zanim to nastąpi trzeba, by Polacy zdobyli Anconę. Bez posiadania tego portu nie można marzyć o zmieszczeniu nad morzem razem wszystkich sił. I oto w

TOTONO

W Szwajcarii rozpoczęte zostały w bieżącym roku nakręcanie filmu według powieści Tomasza Manna „Czarodziejska góra”. Od r. 1940 były już kilkakrotnie czynione próby filmowego opracowania tej powieści, lecz jak do tej pory bez skutku.

Brazylijskie towarzystwo lotnicze „Bristol Aircraft Ltd” zakomunikowało, że jego inżynierowie skonstruowali motor elektryczny, zdolny rozwiązać w ciągu 50 godzin problem matematyczny, który przy normalnym rozpracowaniu przez 15 matematyków wymagałby roku czasu.



Nie było kraju, gdzieby Polak nie dotarł w tej wojnie, i nie było ziemi, której by nie znaczył swoją krwią w walce o wolność. Na dalekiej ziemi włoskiej na cmentarzu w Loreto pod Anconą spoczywają Ci, którzy padli w walce o wybrzeże Adriatyku.

talionów. Mijamy Palazzo del Canone, zdobyte już uprzednio, i dojeżdżamy naszym scout-carem do Palazzo Simonetti, gdzie znajdują się punkty obserwacyjne d-ców dwóch batalionów. Ciężkie karabiny maszynowe umieszczone w górnych oknach pałacu, napieniają powietrze nieprzerwanym jazgotem strzałów. Kierunek strzału — na wzgórze Monte della Crescia, widoczne stąd jak na dłoni. Zajeżdżają „Willysy” z rannymi, wśród których rozpoznaję znajomego strzelca jeszcze z kampanii wrześniowej. Poznał mnie, uśmiecha się blade, chociaż grymas bólu wykrzywia mu twarz, a bok cały zboczony jest krwią.

Monte della Crescia — zdobyte!

Dalszy kierunek na Paterniano. Tam piechota likwiduje już resztki oporu faszystów. Raz po raz mijamy grupki jeńców. Zniknęły butne miny. Z podniesionymi w górę rękami pokornie idą do niewoli.

Słyszymy charakterystyczny świst nadlatujących pocisków artyleryjskich i nawała ognia spada w pobliżu. Szukamy schronienia gdzie kto może. Strata na szczęście nie ma. Tym-



Uwaga! Zbliża się hitlerowski czołg!

czasem przychodzi wiadomość, że o godz. 13.00 Monte della Crescia jest już w rękach polskich żołnierzy. Wzgórze ostatecznie zdobyte i daleki wgląd na drogę odwrótu i tyły Ancony — uzyskany. Obserwatorzy artyleryjscy zajmują tam zaraz punkty i grzać będą z nowych stanowisk artyleryjskich, które można teraz zająć bliżej pod osłoną zdobytego wzgórza.

Skrzyżowanie dróg znajduje się tuż u stóp wzgórza Crescia. W domu obok znajduje się d-ca baonu, u którego melduje się. Za chwilę na skrzyżowanie podjeżdża tuzik z dwoma oficerami amerykańskimi. D-ca baonu macha niecierpliwie ręką. „Tu nie miejsce na rozmowę” — mówi. — „Zapytajcie, czego chcą”. W tym momencie słychać świst nadlatujących pocisków i Amerykanie szybko odjeżdżają. Reszta chowa się przy najbliższych zastawkach. Salwa artylerii ciężkiej pada prosto na skrzyżowanie dróg. Zaledwie zdążyłem schronić się we framudze drzwi, gdy zostałem lekko trafiony odłamkiem pocisku, który wybuchł w pobliżu. Ale nie ma czasu na zastanawianie się, gdyż jeden z pocisków musiał trafić prawdopodobnie w pozostawiony wóz pancerny, słychać bowiem jego syrenę. A wszak pozostał tam radiotelegrafista. Trzech nas podbiega do wozu, gdzie w istocie pocisk trafił w miejsce kierowcy uśładzając między innymi sygnał. Na szczęście z siedmiu ludzi załogi — jeden był tylko na miejscu. Wyciągamy go z wozu, zbitego krwią i udzielamy pierwszej pomocy. Odłamki poszarpały mu mięśnie i żyły na rękach i nogach. Łazik d-cy baonu odwozi go na punkt sanitarny. Bilans jest smutny: mamy dwóch rannych, wóz jest niezdolny do dalszej jazdy, dwie radiostacje rozbite. Ale nadchodzą dalsze, nieprzyjemne wieści: Oto obserwator jednego z PAL-i ppor. Mioduszeński zostaje zabity wraz z kapralem strzelniczym, a po chwili nadjeżdża łazik z rannym kapitanem, d-cą dywizjonu jednego z PAL-i, „Kresowej”. Dzień zaiste niekorzystny dla artylerzystów. Moja rana okazała się niegroźna i chociaż osłabiony, nadaje do pulku meldunek o wypadku z jednej ocalałej radiostacji.

Ostatni atak

Trzon niemieckiej obrony zagradzający drogę wyjścia na Polverigi i Agugliano i bronią

cy obejścia Ancony wybity. Zwycięstwo! Do morza zostało już tylko 9 kilometrów.

Rozpoczęta dnia 17 lipca rano bitwa została zakończona w dniu 18 lipca w godzinach popołudniowych. Samo zajęcie miasta i portu Ancony było już rzeczą prostą. Po złamaniu centrum i prawego skrzydła przeciwnika Ancona wpadła w ręce Korpusu jak dojrzałe jabłko. Oddziały Dywizji Karpackiej i pułku rozpoznawczego, spełniwszy znakomicie rolę wiązania i mylenia przeciwnika, gdy tylko nieprzyjacieli zaczął się chwiać, ruszyli naprzód i ściągając uchodzącego przeciwnika, wkroczyli do miasta.

Jerzy ANTONIEWICZ

Artylerzyści pracują szybko i dokładnie; każdy ich strzał, to odwet za wrzesień!



O śpiących rycerzach z Gór pod Mosiną czyli o legendach, plotkach i psychozach

Lat temu 70, w roku 1886, ogarnęła Wielkopolskę osobliwa atmosfera podniecenia i wyczekiwania. Były to zresztą lata, w których na szeroką skalę rozpoczynały się zasadnicze przemiany w organizacji życia gospodarczego i przemysłowego w Wielkopolsce. Poważnie wstrząsnęły one bardzo dotąd powolnym tętnem życia miast i wsi Wielkopolski. Silnie zachwiały utrwalałymi tradycjami, otworzyły dla ludu wsi i miast nowe perspektywy.

Impulsem do tych przemian były zarządzenia i nacisk władz pruskich zmierzające do zmodernizowania techniki prac na roli (m. in. wprowadzanie na szeroką skalę żelaznych narzędzi rolniczych w miejsce dotychczasowych drewnianych, wprowadzanie kłosał itp.), a w miastach do zakładania zmechanizowanych warsztatów pracy. Zachwianie tradycyjnym układem gospodarczym wywołało powstanie dwóch przeciwnych sobie tendencji. Jedną z nich reprezentowała mniej szczerze, entuzjastycznie dążąca do modernizowania starych form, druga miała za sobą znacznie liczniejszy odłam ludności Wielkopolski, reprezentującej nastroje niechętnie nowościom, konserwatywne i zaborne. Otóż w owym 1886 roku w takiej to atmosferze i w tym

Ma Wielkopolska, podobnie jak Podhale, swoją legendę o hufcu rycerskim uśpionym i czekającym na ostatni bój. Miejscem, gdzie leży ów hufiec, lub jak lud wielkopolski woli nazywać „legion”, jest wzgórze nad jeziorem Górką niedaleko Mosiny pod Osową Górą. Według wersji najdawniejszej jest tych rycerzy 300, później, w połowie XIX w. podawano 300 tys., a w pewnej wersji późno-wielkopolskiej nawet 7 milionów.

środowisku zaczęto oczekiwać końca świata!

Poleciała więc chęć plotki, że stoimy przed katastrofą na miarę kosmiczną, a przynajmniej przed wielką wojną. Znałszy się zaraz pełne grozy przepowiednie i wizje strasznych dni. Niemal przyczyniła się do tego prasa tutejsza („Dziennik Poznański”, „Posener Tageblatt” i „Goniec Wielkopolski”), która niemal w każdym numerze zamieszczała jakieś na ten temat sensacje.

Powstała zatem osobliwa psychoza. Ludzie ze zgrozą szepotali sobie o mającej nadejść katastrofie. Złowrobnym nastrojem zwracali nawet uwagę Niemców, szczególnie ze względu na pewną interesującą wersję owej katastrofizm, wg której przed owym końcem świata dojdzie do wielkiej bitwy, w któ-

rej legion polskich rycerzy pokona i wyniszczy wszystkich w Wielkopolsce Niemców. Kiedy? W dniu św. Marka, 25 kwietnia 1886 r. Ową zwycięską armię miał być właśnie rycerski legion, liczący 300 tys. wojowników, dowodzonych przez polską królową, św. Jadwigę! Na murach Inowrocławia pojawiły się nawet plakaty zapowiadające ów wielki dzień. (Zeitschrift der Historischen Gesellschaft für die Provinz Posen, 1886, str. 412). Pomijając zagadnienie — dlaczego właśnie te wątki i w takim właśnie układzie tu się powiązały, należy wskazać na to, że zjawisko to nie jest wcale przypadkowe, ale przeciwnie, jest psychologicznie i kulturowo uzasadnione we wszystkich szczegółach: jest wyrazem pewnej swoistej prawidłowości.

Podobna zresztą psychoza, powiązana z legendą, powstała w Wielkopolsce m. i. także w roku najazdu hitlerowskiego na Polskę, mianowicie w listopadzie 1939 r. Zalamanie tradycyjnego układu społeczno-gospodarczego, lęk przed nieznanym dniem jutra stworzyły atmosferę wyczekiwania, grozy. Irracjonalna plotka o nocy św. Andrzeja Boboli, która przyniesie Niemcom zagładę, obleciała całą Wielkopolskę. Powstała psychoza oczekiwania, z której nieźle bawili się Niemcy.

Zdawać by się mogło, że lata 1886, o których jeszcze pamiętają starzy ludzie na wsi wielkopolskiej, albo r. 1939, są tak od nas odległe, że podobne do wyżej wspomnianych zjawiska nie mają i nie mogą już u nas się zdarzyć. Tak jednak wcale nie jest. Odpadło co prawda wiele legendarnych i mitycznych fantazji, stanowiących przestarzałe motywy na kanwie współczesnej. Ale sama kanwa została. Jest nią psychika ludzi.

O zadziwiających procesach ludzkiego myślenia, o niewiarogodnej dynamice czynników emocjonalnych i ich wpływie na irracjonalne myślenie, o psychologii tłumy — mówi się i pisze za mało! O wiele za mało niżby trzeba, aby wiedzieli wszyscy działacze społeczni wszelkiego autoramentu. A szkoda!

T. Wr.

Synowie wolą gotówkę

W Paryżu odbyła się niedawno wielka licytacja, podczas której wystawiono na sprzedaż biżuterię zmarłej niedawno francuskiej gwiazdy rewiowej — Mistinguette. Udział publiczności był szczególnie duży, a transakcje odbywały się przez cały dzień. Nabyć można było 70 kosztownych „drobiazgów”, oszacowanych na sumę 22 milionów franków. Jedno cacko, w postaci wisiorka wyobrażającego pagodę chińskiego przybrania diamentami, przyniosło 7 milionów franków. Suma uzyskana z aukcji przy padła w udziale jednemu synowi Mistinguette, brazylijskiemu lekarzowi Lima Silva.



Sławna aktorka Greta Garbo, o której doniosła ostatnio prasa, że zamierza wystąpić jesienią br. w jednym z teatrów na Broadway w sztuce Antoniego Gronowicza „Modrzejewska, jej życie i miłość”, przybyła w tych dniach do Paryża. Cel jej wizyty w stolicy Francji okryty jest mgłą tajemnicy.

Fot — CAF

Historyjka z dębem

Na rynku miasteczka rósł stary, piękny dąb. Mieszkańcy bardzo go lubili, ba, nawet szczyli się nim. W piękne, letnie wieczory siadywali na ławeczkach w cieniu jego konarów. Przez swoje długie lata słyszał on niejedno miłosne zaklęcie.

Pewnego dnia przyszli cieście i dąb ścięli. W miasteczku zakotłowało się. Miejscowy korespondent napisał o tym do gazety. Po kilku dniach do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej przyszła interwencja.

W związku z tym miejscowe tak zwane czynniki zebrały się na naradę. W wyniku jej wysłano sprostowanie udowadniające czarno na białym, że dąb własnoręcznie ściał sam korespondent.

Książka zażaleń

W gospodzie podano na obiad nieswieże mięso. Zdenerwowani klienci skargami i reklamacjami zapelnili całą książkę zażaleń.

Po tygodniu przybyła na miejsce komisja, delegowana przez zarząd spółdzielni, której podlegała gospoda. Przede wszystkim pokrzepiono się na miejscu obiadem. Tym razem mięso było świeżutkie. Następnie przystąpiono do kontroli. Książkę zażaleń zabrala komisja z sobą.

Następnego dnia przysłano nową. Tylko jedna stroniczka była w niej zapisana. Wypełnili ją członkowie komisji. Pochwalamy.

Janusz KSIĘSKI

Wiadomość o podjęciu uchwały w sprawie spalania tajnych opinii pracowników, powitana została w kierownictwie Zakładów S-28 z pełnym zrozumieniem. Postanowiono bezwzględnie dokonać tego zabiegu. Obszerne podwórze za gmachem Zakładów miało stać się miejscem ostatecznej zagłady akt, które niejednemu pracownikowi dały się mocno we znaki. Wydarzeniu temu postanowiono nadać uroczysty charakter. Program imprezy, ustalony na specjalnej konferencji w gabinecie kierownika działu kadr, przedstawiał się następująco:

1. Przemówienie dyrektora Zakładów na temat bezwzględnej konieczności realizacji ogólnych wytycznych.
2. Część artystyczna w wykonaniu zespołu chóralnego „Wiwat”.
3. Uroczyste zapalenie stosu. Najgorętszą dyskusję wywołał punkt ostatni. Chodziło mianowicie o wytypowanie pracownika, któremu przypadłoby zaszczyt podłożenia pionącej zapalniczki pod wielką stertę akt na zakładowym dziedzińcu.

Padła kandydatura Wiśniewskiego. Dyrektor zaproponował.

— Wiśniewski to niezły pracownik, ale ma jedną wadę. Nie wymawia prawidłowo litery „w”. Wymieniono nazwisko Dykacza.

— Owszem — odparł przewodniczący rady miejscowej — uczciwy i rzetelny człowiek. Ale o ile wiem nie umie jeździć na wrotkach.

Przy kandydaturze Kopalki, głos zabrał delegat 14 grupy związkowej.

— Kopalko to jeden z najbardziej zasłużonych ludzi naszej instytucji. I na pewno jemu powinniśmy zlecić uroczyste podpalenie stosu, gdyby nie poważna przywara, uniemożliwiająca zaszczycenie go tą funkcją. Kopalko, towarzysze, za swoich młodych lat szkolnych podpowiadał kolegom na lekcji.

Padło nazwisko Jaszczyka.

— Jaszczyk mógłby — powiedział kierownik działu gospodarczego — ale wydaje mi się, że powinniśmy wybrać człowieka, na którym nie ma cienia jaskięs skazy. Jaszczyk jest małkutem.

Przy Kowalskiej zaś zebrani usłyszeli taką uwagę wicedyrektora:

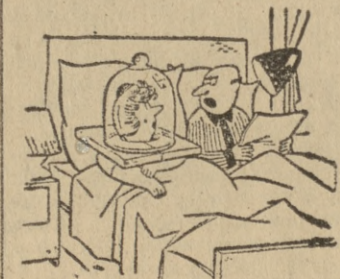
— Towarzyska Kowalska? Nie. Kowalska unika brunetów. — To może Skoczylas? — W żadnym wypadku — zaprotestował milczący dotąd przedstawiciel zakładowego koła PTT-K. — Skoczylas wyrządził się urogo o domkach kam-pingowych.

Dyskusję podsumował kierownik kadr, stwierdzając:

— Niestety, jak towarzysze widzą, brak w naszym zespole człowieka, któremu bez obawy moglibyśmy powierzyć zaszczyt ny obowiązek uroczystego zapalenia stosu z tajnymi aktami personalnymi. W związku z powyższym zmuszeni jesteśmy przesunąć na okres późniejszy.

Uczestnicy konferencji rozeszli się w milczeniu. Nie było też potrzeby zbierania się po raz drugi. Leżący na podwórzu stos akt zapalił się ukrótce od rzuconego przez nieuwagę niedopałka papierosa.

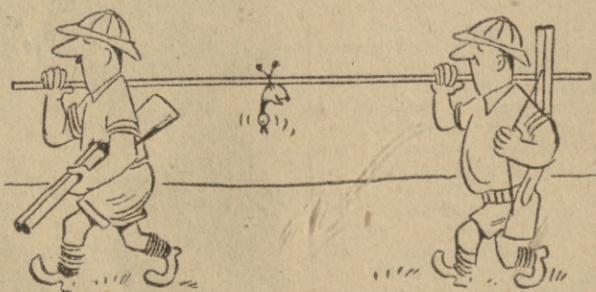
Uchwała stało się zadość. Piśmne opinie spłonęły.



Między wariatami

— Jak ci obetnę jedno ucho, to będziesz widział?
— Tak.
— A jak ci obetnę drugie ucho, to będziesz widział?
— Nie.
— Dlaczego?
— Bo mi kapelusz wpadnie na oczy.

Rysunki bez podpisu



FRASZKI

Włodzimierz Scisłowski

Niejednemu

Skoroś wczoraj piał peany —
zmień tonację choć, kochany!

Nihil novi...

Zbuntowanych aniołów rozumiem los gorzki —
też ich zdenerwował wieczny kult jednostki!...

Do pewnego

Nie oskarżaj wciąż li Berię,
gdyś nałożył sam liberię!

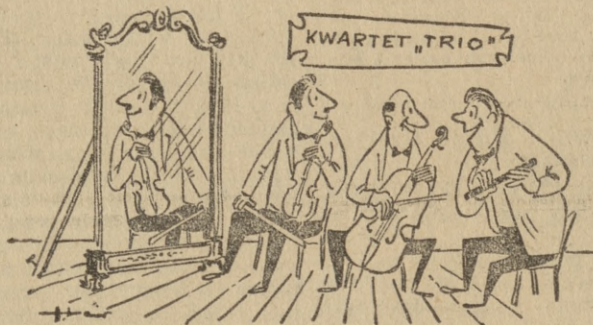
Przysłowie i życie

Niedaleko pada jabłko od jabłoni —
chyba, że Łysenko mu zabronił...

Jan Krawczyk

O pewnym kolektywie

Choć z kilku osób stworzono to ciało
Rzecz dziwna! Ani jednej głowy nie miało.



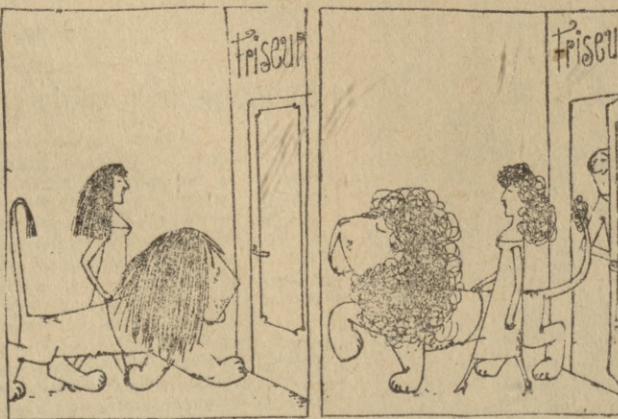
— A wszyscy myślą, że gramy to czwórkę...

Rys. H. Derwich

„W tym szaleństwie jest metoda“...



...mówi szekspirowski Hamlet i doprawdy nie myli się. Czego bowiem nie uczynią kobiety, aby podkreślić swoją urodę? Widoczne na naszym zdjęciu fantastyczne fryzury oraz ich właścicielki nagrodzone zostały w konkursie, który odbył się niedawno w NRF. Pierwsze miejsce zdobył twórca uczesania za fryzurę „król żab” (druga z prawej w I rzędzie). Kreationie te, aczkolwiek pomysłowe i kunsztownie wykonane, nie są zapewne łatwe do „noszenia”. A jak Wam się podobają — panowie?



„Eulenspiegel”

Egon Erwin Kisch, słynny „szalejący reporter” i pisarz czeski, nie tylko sam był autorem świetnych anegdot, ale też dzięki swemu dowcipowi i barwnemu życiu dostarczał innym aż nadto materiału do wielu zabawnych i ciekawych historii, które krążyły o nim wśród przyjaciół i znajomych.

Z tych anegdot i wspomnień o Egonie Kischu zebranych w wydanej ostatnio „Kisch-Kalender” (Aufbau-Verlag, Berlin) drukujemy dziś mały wybór w opracowaniu i tłumaczeniu IRENY NAGANOWSKIEJ.

Egon Erwin Kisch jako młody reporter został wezwany do „naczelnego”.

— Musi pan pojechać do miasteczka T. — oświadczył wszechwładny chlebodawca. — Jutro odbędą się wybory uzupełniające i może być gorąco. Niech kasa wypłaci panu 15 guldenów zaliczki i proszę natychmiast wyruszyć.

— Piętnaście guldenów? — zaoponował Kisch. — Nie, ależ to...

— Proszę mi się nie sprzeciwiać. Taki młody człowiek jak pan powinien być skromny. Za moich czasów nie otrzymywało się więcej niż 3 guldeny... Nie, o niczym nie chcę słyszeć. Powiedziałem, że piętnaście guldenów to aż za dużo! Zegnaj pana! Ale żeby mi wiadomości nadeszły punktualnie!

W dniu wyborów wieczorem do redakcji wpłynął telegram następującej treści:

— Dzisiejsze wybory były wi-downią wielu nieoczekiwanych zająs i ku ogólnemu zdumieniu przyniosły... stop, tutaj kończy się zaliczka. Kisch.

L istopad 1918 roku, Oddział wiedeński Czerwonej Gwardii zajmuje lokale wielkiego burżuazyjnego dziennika „Neue Freie Presse”. Naprzeciw oddziału, prowadzonego przez męczący się w płaszczu oficerskim bez dystynkcji, wychodzi jakiś redaktor.

— Cóż za dziwny zbieg okoliczności. Obaj noszą nazwisko Kisch i są... bra-mi. Starszy Paweł uzbrojony w godność naukowego tytułu i piastujący stanowisko zastępcy naczelnego redaktora, protestuje żywo przeciwko „bezprawiu” i domaga się od młodszego brata Egona, żeby odmaszerował razem ze swą „bandą”. Ale Egon nie chce słyszeć o niczym i żąda wydania kluczy.

— Nie wydam kluczy — oświadcza Paweł.

— Wobec tego każę ci je odebrać siłą — odpowiada Egon. — Poddaj się... Towarzysze czerwonogwardziści! Jeżeli oby-watel redaktor nie wyda kluczy, zostanie aresztowany.

Na znak dowódcy dwaj gwardziści zbliżają się do opierającego się redaktora. Paweł błędnie, wyciąga pęk kluczy z kieszeni i rzuca go bratu pod nogi.

— No masz te klucze! Ale żebyś wiedział — powiem mamie!

W krótko po wykonaniu wyroku śmierci na niewinnie skazanych robotnikach Sacco i Vanzettim, gubernator północno-amerykańskiego stanu Massachusetts, Fuller, odbywał podróż po Europie i przyjechał do Berlina. Przyjazd jego trzymano — na rozkaz władz — w ścisłej tajemnicy, żeby uniknąć „niemiłych scen”, jakie rozegrały się w Paryżu. Tam bowiem różni nieproszeni goście — delegacje robotników, uczniów, artystów i nauczycieli — zmusili parokrotnie „dostojnego gościa” do znalezienia hotelu, a wreszcie nawet do wcześniejszego odjazdu.

W Berlinie wszystko grało jak najlepiej. Fuller nie rozpoznany przez nikogo, przybył do hotelu Eden. Ale nim jeszcze zdążył zasiać do pierwszego śniadania, zadzwonił telefon.

Gubernator Fuller? — pytał ktoś po angielsku.

— Przy telefonie. Kto mówi?

— Duchy Sacco i Vanzettiego, których ty mordowałeś.

Śniadanie pozostało niekńnięte, a Fuller odjechał najbliższym pociągiem.

Głos, który go wystraszył — był głosem Egona Kisch, który w niewiadomy sposób dowiedział się o obecności Fullera w Hotelu Eden.

Pewnego razu jakaś ciekawa czytelniczka chciała się koniecznie dowiedzieć, co Kisch sądzi o pisarzu, który przeszedł do obozu reakcji, przy czym, jak to często bywa, popsuł się nie tylko jego charakter, ale i jego talent.

— O kogo pani chodzi? — zapytał „szalejący reporter”, udając że się przestyszał.

— O powieściopisarza R. — odpowiedziała dama i zaczęła wyliczać tytuły powieści, popełnionych przez renegeata.

— Dosyć — przerwał jej Kisch. — Już wiem, o kogo chodzi. Łatwiej kupić jego usługi, niż sprzedać jego książki.

Mało kto wie, że Kisch był nie tylko „szalejącym reporterem”, ale grywał także w filmach. Kiedy ukończono zdjęcia do filmu „Ulica kobiet w Algierze”, nakręcanego w oazie Tuggurt w Afryce, Egon Kisch, grający w tym filmie podwójną rolę, pożegnał się z kolegami i wyruszył w podróż przez pustynię. Znana aktorka amerykańska, Camilla Horn, wdrapała się na wieżę minaretu, żeby pokławić swemu partnerowi, którego wielbił, uścisnąć go w wielkim piasku.

Minęły lata. Camilla i Egon nie spotkali się przez długi czas. Aż tu pewnego razu Kisch zjawia się w Hollywood akurat podczas nakręcania filmu, dziejącego się na Bliskim Wschodzie.

Na wieży minaretu stoi Camilla Horn, uprowadzona z harem przez muezżina.

Kisch patrzy przez chwilę zdumiony, a wreszcie woła:

— Bój się Boga, Camillo, to ty wciąż jeszcze sterczysz tam w górze?

Tomasz Mann powiedział kiedyś, że pisarz to człowiek, któremu pisanie sprawia specjalną trudność. Powiedzieć nie to można świetnie zastosować do Egona Kisch. Jego ręce kopisły już samym swym wyglądem świadczyły o sumiennym stylu pracy. Kisch nie pisał od razu na maszynie. Co więcej, nigdy nie nauczył się nawet pisać na maszynie. Mechaniczny proces uderzania w klawisze, stukot czcionek, wybijających litery, przeszkadzał mu w pracy, uniemożliwiał koncentrację. Wszystko pisał ręcznie, starannie i dokładnie, czasem z dziwnymi zakrętami. Nawet w twórczym zapale nie skracał słów. Litera, słowa, zdania musiały się układać w jemu tylko właściwy obraz pisma, innego nie uznawał.

W ogóle odznaczał się swoistym sposobem pracy. Jakże często przepisywał teksty, porządkował, odrzucał pisał na nowo. W środku rozmowy potrafił zerwać się niespodziewanie. „Wreszcie mam właściwe sformułowanie!” Kiedy je już zapisał był zadowolony — dopiero wtedy.

Pisarz niemiecki Peter Nell opowiada, jak Kisch śmiał się kiedyś z przydomka „szalejący reporter”, który mu przypieciono. Jedną z jego pierwszych książek nosiła taki właśnie tytuł, a na okładce widniał człowiek, którego nogi zamiast w butach tkwiły w pedzających motorówkach, a palce zakończone były klawiszami maszyny do pisania.

— Tak, tak, szalejący reporter — powiedział wtedy Kisch, kiwając głową. — Jeżeli chodzi o tempo mojej pracy, przy pomina ono raczej szybkość dyktanda pocztowego, niż pospieszego pociągu...